Ner 15. Kraków 21 maja 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

LORD BYRON

SZKIC LITERACKO-BIOGRAFICZNY

PRZEZ

Lucyana Tomasza Rycharskiego

(Ciąg dalszy).

Godziny bezczynności jakkolwiek pod względem wartości nie wyrównywają późniejszym, mają one przecież dla myślącego człowieka szczególniejszą cechę smutku, zwątpienia, prawie nawet rozpaczy. Już tam widać serce, które napróżno przez całe życie odpowiedniego sobie szukać będzie uczucia, a ta tkliwość nietylko w miłości jego się objawiła, — przyjaźń, koleżeństwo szkolne działały na niego z równą prawie mocą. Posłuchajmy, co mówi o swoim pobycie w szkołach: „O lube chwile „mego dziecinstwa, w których przyjaźń wykarmiona „w sercu w sercu dozwalała mi kosztować szczęścia. „Przyjaźni! słodki związku, udziale młodości, kiedy „jeszcze serce człowieka bije prosto i niewinnie, kiedy „doświadczenie życia nie nauczyło go jeszcze udawać „lub tłumić swych wzruszeń, kiedy dusza czysta, pocz„ciwa mówi szczerze o swej miłości, okazuje otwarcie „niechęć nieprzyjaciołom. Usta młode nie znają ubar„wionego kłamstwa ani smutnego doświadczenia, które „okupujemy bolesnym zawodem.“ Dziwne przeczucie genjuszu! Kiedy to pisał Byron, zaledwie lat kilkanaście dzieliło go od kolebki, a przecież już tak gorzkie przyszłości miał widzenie, już tak znał skutki życia. Rzekłbyś, że tem wczesnem przejrzeniem Opatrzność chciała zabezpieczyć opuszczoną istotę poety od zgubnych egoizmu przykładów, że mu dla tego tak silnie kochać dozwoliła, aby poznanie słodyczy uroków serca, uczyniło go na całe życie obojętnym na materjalne zabiegi i chciwe widoki. To lepiej jeszcze potwierdzają te jego słowa, także ze wspomnień szkolnych wyjęte: opisawszy lube związki dzieciństwa swego, skreśliwszy słodkie postacie przyjaciół, nagle jakby ze snu miłego ockniony sam sobie czyni to pytanie: „lecz czyliż ja „tylko jeden upajam się tem wspomnieniem? czyliż „moje żale za przeszłością są tylko zwyczajną tęsknotą, „jakiej każdy człowiek za latami dzieciństwa doznaje? „O nie! silniejszy powód miota piersiami mojemi, bu„dząc to głuche przeczucie, że przyjaźń podwójnie dro„gą być musi dla istoty, która ma całe życie spędzić „na szukaniu serc przyjacielskich i gonić w dalekich „stronach miłość, co nigdy kolebki jej nie otaczała. „Pustelnik wśród ludzi idę drogą samotny, chociaż du„żo razem ze mną biegnie pielgrzymów; natura ich łą„czy tysiącznemi węzły, a ja nie mam serca, które„bym mojem mógł nazwać; przecież trzeba mi znaleść „i uściskać rękę przyjazną; gdzież ją znajdę, jeśli nie „w przeszłości, wśród towarzyszów szkolnych, we wspo„mnieniach szkolnych?......“ W tym żalu do zawodnej rzeczywistości przebija już zbłąkana dusza *korsarza* (o czem poniżej), a chociaż w osłonie chrześcijańskiej wiary taka marząca rozpacz nigdy powstać nie może, jednak przyznać z drugiej strony należy, iż nawet przy najmoralniejszem ugruntowaniu, poeta ma wrodzoną dążność za ideałem piękności, która mu nigdy w rzeczach doczesnych zasmakować nie dozwoli. Takie istoty nie żyją prawie obecnością, tylko wspomnieniem lub nadzieją; szczęśliwy poeta, na którego niwie wspomnień wzrósł luby kwiat świadectwa sumienia, a krainę nadziei myśl nieśmiertelności oświeca. Pierwszego brakowało do śmierci Byronowi, lecz drugą miał czuć genjalny śpiewak Albionu i to przeczucie religijnej wieczności powiększało jego boleść, bo znał, że burzliwe jego życie niegodne tak wielkiego daru.... Ten głuchy głos wiary, co mu mimowolnie z piersi namiętnych się wyrywał, podał mu myśl *Modlitwy przyrodzonej*, która dla krytyka-filozofa cały zawód Byrona tłumaczy, najdoskonalszą charakterystykę jego szczególniej indywidualności stanowi. „Ojcze! światła! — mówi poeta — „wielki Boże niebios! słuchaj głosu rozpaczy! Czy wy„stępek można okupić modlitwą, Ojcze światła do cie„bie się odwołuję? Ty widzisz moją duszę, czarno w jej „głębi..... Ty, co utrzymujesz w locie wątłą ptaszynę, „oddal odemnie śmierć grzechu. Ja nie szukam wyłą-

„cznych ołtarzów, nie znam sekt, ty mi wskaż drogę „prawdy. Uznaję twoją straszną wszechwładność; oszczędzaj mnie, lituj się nad błędami mej młodości.“ Tu obok rozległej, wspaniałej poezji, która już sama jest jakby hołdem człowieka dla Stwórcy, widać duchowność nieoznaczoną, nieokreśloną, a jednak silną. Wszystkie wrażenia ziemi, wszystkie podszepty passyi lub rozpusty stłumić jej nie mogły. Jego wiara nie ma gruntu, jego pieśń dziękczynna nie obija się o sklepienie widzialnego kościoła, jego modlitwa, jak jego przeczucie ginie w obszarach świata, aby znów napowrót z krańców wszechnicy razem z poetycznem natchnieniem spływać do duszy spragnionej światła. Całe też to dziwne życie jego można nazwać tylko potokiem poezji, to był jedyny węzeł, który tego syna ziemi łączył z niebem. W tej modlitwie zda się słyszeć całą ludzkość XIX wieku, ocknioną ze snu nicości; ona tym hymnem wita jutrzenkę wiary. „Czy człowiek występny może znaleść usprawiedliwienie? czy zbrodnię można okupić modlitwą?“ — mówi współczesność razem z Byronem....

Jednakże nie trzeba mniemać, iżby ta trwoga, z jaką Byron do Boga przemawiał, była wyłącznie odbiciem błędów ludzkości; nie — on, chociaż młody, miał już wiele do wyrzucenia sobie osobiście. Wspomnieliśmy wyżej o jego obojętności dla matki. Nie znajdując żadnej słodyczy w rodzinie, oddawał się najburzliwszym passjom, najzdrożniejszym towarzystwom. Pragnął jednak cnoty, dusza jego przez samo pojęcie estetycznego ideału żywo uprzytomniała mu to młodzieńcze obłąkanie; on wśród tej występnej rozpusty ani chwili szczęścia nie znajdował. Żaden z towarzyszów jego zabaw nie znał gruntu tej istoty, prawie z nadmiaru czucia szukającej odurzenia; w ich gronie często łza żalu i tęsknoty spływała skrycie po smętnych licach tego młodego Don Juana; nikt jej nie spostrzegł, nikt jej nie podzielił, a ona jednak goryczą zaprawiała ziemskie rozkosze, ta łza mieszała się przez całe życie do wszystkich illuzji Byrona. Cóż więc dziwnego, że w samotnem dumaniu, oderwawszy się na chwilę od rozpustnej zgrai, zanosił do Boga modły pełne trwogi, nieporządku i nadziei, że lubił błąkać się po cmentarzach, że mu wspomnienie dzikich i samotnych gór Szkocji tak było drogie? „O jakże chciałbym być — mówi on — „jeszcze naiwnem dziecięciem w górach Szkocji, błąkać „się wśród smętnej ich ciszy, lub przebiegać lekkim „skokiem niebieskie nurty potoku. Tak mało lat jeszcze liczę, że świat ten nie dla mnie stworzony.... Ach „jakże chętnie opuściłbym ludzkie mieszkania; nie mam „nienawiści do rodu ludzkiego, a przecież pragnąłbym „się od niego odsunąć, dusza moja potrzebuje ustronnych dolin, których ponure milczenie przystoi memu „smutkowi, o! czemuż nie mam skrzydeł, na których „unosi się gołębica ku gniazdu swemu, wzniósłbym się „pod sklepienia nieba, aby uciec na zawsze przed ziemią i znaleść raz spoczynek.“

W tej pierwszej epoce jego już cała przyszłość Byrona zawarta; już widzimy wszystkie przejścia jego zawodu, śmiało się rysujące. Tu nietylko żałosne śpiewy *Child-Harolda*, posępny obraz *Konrada*, fanastyczny dramat *Manfreda*, pełne rozpaczy dumanie *Kaina*, dla myślącego badacza już w zawiązku istnieją, lecz nawet rozpustna, a jednak smętna, z dziką wesołością szydząca z uciech życia postać *Don Juana* już się wyraźnie przedstawia....

Już tu widać, że ten namiętny, burzliwy poeta nie zaśnie na łonie drobnych egoizmu zadowoleń, nie wróci ze śmiałej wycieczki w kraj ideału na zimny tor życia; że słaba jego wola nie zdoła zamienić marzeń na rzeczywiste cnoty; te złote połyski wiosennego uczucia zbrudzą się w zapasach z doświadczeniem.... Już w ustach zbłąkanego młodzieńca zda się nam słyszeć odezwę do bohatera ziemskiej rozpusty, w którego szkole on chciał uciszyć boleść wewnętrzną: „Przeklęty bądź „Don *Juanie!* mniemałem, żeś jest wielkością, a tyś „tylko szaleństwem; proch stóp twoich tyle ma wartości, co popiół wiatrem niesiony; droga, którą ty szedłeś, prowadzi tylko do rozpaczy i odurzenia. W tej „chwili uroczystej, kiedy widok świata znika dla mnie, „kiedy mgła ponura okrywa kłamliwe słodycze — cień „twój, Don *Juanie!* już nie ma władzy nademną; jużbym dziś nie poświęcił jako dań twych próżności zaufania mych lat młodych; jużbym u stóp twej statuy „nie palił wonnych kwiatów w niewinnej rozwiniętych „duszy, które zwiędły pod wpływem twego tchnienia!“

Tak, te słowa były później w ustach umierającego Byrona, jak były już w piersiach miotanego sprzecznemi popędami młodzieńca.... Wiosna życia, wszystko już powiada — trzeba wiele pracy, aby w dalszych latach zniszczyć jej przepowiednie....

Na te i inne, jako pierwsze próby młodzieńca, krytyka Edymburgska rzuciła gromy potępienia, odebrała autorowi wszelkie prawa do poezji, okryła pogardą i szyderstwem. Ta pierwsza nagana miała może wielki wpływ na życie lorda Byrona; dotknęła go mocno. Dusza jego jeszcze młoda i ufna ubiegała się o szacunek ludzi, a wzgardzoną została. Napastowano jego zapał, bo niekiedy większym był nad zamiar; odebrano mu najdroższe omamienia. Do głębi zraniony pierwszą nieszczęśliwą miłością, niczego się na teraz nie spodziewając ze strony serca, czuł jakąś wewnętrzną tajemnicę, jakiś świat zagadkowy, który ruszał się w łonie wieszczem i potrzebował światłości dziennej. Dumny z rodu, lecz zarazem nauczony doświadczeniem, że najświetniejsze imię bez majątku i wpływu na nie wiele się przyda, całą nadzieję młodej ambicji zakładał na osobistem odznaczeniu się. Pierwszy tomik jego poezji, próba pierwszych usiłowań autorskich, miał urzeczywi-

stnić nadzieje większe niż te, do których się Byron otwarcie przyznawał. A tymczasem krytyka zażarcie wpadła na ten płód młodocianej muzy; artykuł „Przeglądu Edymburgskiego“ dopełnił tylko kielicha goryczy. Rozpacz i rozczarowanie zatrząsły duszą Byrona; w tym stanie upadku i zwątpienia nawiedza go przyjaciel pan Dàvies, młodzian rozsądny i dowcipny, a widząc, co się dzieje z nieszczęśliwym poetą, na trafną myśl wpada.

— Cóż teraz począć?! woła lord w rozpaczy.

— Odpowiedzieć! — rzeknie Dàvies, który odgadł, w czem jest cała potęga talentu Byrona.

— Masz słuszność — odparł po chwili Byron, tymczasem chodźmy na kolację. I obaj przyjaciele wziąwszy się pod ramię, puścili się ulicami Londynu, a upatrzywszy sobie jakąś tawernę, zasiedli do stołu i w oka mgnieniu wypróżnili tuzin butelek Johannisbergera. — Dziwna zaszła zmiana w poecie. On przed chwilą taki znękany, powalony, sypał żartami i dowcipem. Wewnątrz wrzała zemsta; pod jej natchnieniem śmiał się, myślał i pił z wściekłością. — Nazajutrz większa połowa sławnej jego satyry była już na papierze; lecz ten utwór sam przez się nie tyle mu ulgi przyniósł, ile ta myśl go pokrzepiła, że znalazł nareszcie prawdziwą tajemnicę swojej potęgi. Uczuwszy w sobie ducha oporu, poznał, że przez tę zbroję żaden go cios nie dosięgnie. Odtąd jakąkolwiek raną rozdarto mu serce, nigdy nie zdołano ugiąć pysznej jego głowy. Wiedział, że potężny, i wieczną zachował wdzięczność temu, który mu odkrył tajemnicę ufania we własną siłę.

Satyra ta wydana w roku 1808 pod tytułem: *Bardowie angielscy i krytycy szkoccy*)*, była dziełem mistrzowskiem. Tyle humoru i satyry nie rozwinął nigdy żaden autor. Nie oszczędził nikogo, ani małych ani wielkich, pod swoim biczem mściwym wszystkich zrównał, pokazał się niezawisłym od ludzi, w sposób ich przestraszający. Zdawało się, jakgdyby wziął był za godło: „*ponieważ podobać wam się nie mogłem, przynajmniej chcę, adyście drżeli.*“ — Genjusz, który zemstę jego odkrywał, powiększył ważność sprawy. Bano się olbrzymiej miłości własnej, której bezkarnie nie można było obrazić. Walka ta była potrzebna, ona ustaliła jego zawód, odtąd uczuł się wieszczem. „Uzbrojony dla doświadczenia mojej broni, rzucam rękawicę włóczęgom Szkocji i głupcom Albionu.

— Krytyka nie tłumi nigdy prawdziwej zdolności.

*) Znajdujemy tu pewną analogję między odpowiedzią Byrona a repliką Mickiewicza p. t. „O krytykach i recenzentach warszawskich,“ którą nasz wieszcz cisnął napastującym go, potępiającym a nawet znieważającym zaciekłym pseudo-klasykom warszawskim.

Chociaż jednak bronił się śmiało, zjadliwa ta krytyka tak przykre na nim uczyniła wrażenie, iż zapragnął opuścić Anglję — do tego przedświęwzięcia przyłożyło się jeszcze rozpustne i szalone życie, jakie wciąż prowadził w ojczyźnie. Wyżej wspomnieliśmy, iż był w Londynie. Udał on się tam w skutek niewzajemności panny Chaworth, szukając roztargnienia w rozkoszach. Wrócił jednak wkrótce do starożytnngo zamku, żył w nim prawie samotnie; jedynym jego towarzyszem był pies z nowego świata, którego bardzo lubił i dla którego nawet napis grobowy zrobił. Podyktowała mu go mizantropja.

— Prawie w tym samym czasie zrobić kazał, z czaszy na cmentarzu znalezionej, puchar i wyryć na nim napis, w którym dziwactwo, ironia i obojętność są połączone. Osądzono te wiersze jako przestępstwo, wszakże były one tylko urojeniami serca chorego i zbytecznej wyobraźni. Lord Byron przechodził zawsze z jednej ostateczności w drugą. Raz ludzi unikał, drugi raz gonił za rozkoszami życia.

Urodzenie nadawało mu prawo do świetnego zawodu w parlamencie; przed wyjazdem z Londynu został uroczyście przyjęty do izby — lecz czynne działanie w obecności nie mogło mieć pociągu dla człowieka, który żył dla przyszłości, który nie jednemu miał tylko służyć narodowi. Może nawet w tej obojętności dla życia publicznego było właściwe przeczucie.

(Ciąg dalszy nast.).

WSPOMNIENIE.

Gdyby można — to co dawniej było
Wyrwać z serca — lub wykraść z pamięci —
I nie ruszać już z grobów pieczeci
I powiedzieć — to się kiedyś śniło.

Ale darmo — próżna taka praca,
Nic nic nie zetrze z zapisanej karty,
Bo wspomnienie ów łachman podarty
By ci spokój zakłócić powraca.

*

WNUCZKA

Ustęp z pamiętników Wesołej Kobiety

przepisał

J. K. TURSKI

(Ciąg dalszy).

II.

Wirtuoza.

Edukacja moja pod okiem tak wykształconego człowieka, jakim był mój dziadek, ogromnym kosztem prowadzona, robiła ze mnie istotę rzeczywiście nie zwykłą, ale nie zwykłą jedynie massą różnych wiadomości, któremi mi głowę napychano, bez wszelkiego jednak ładu i korzyści moralnych. Wiedziałam np. mając lat 14 ilu było wszystkich najznakomitszych astronomów począwszy od Galileusza, umiałam na pamięć wszystkie najdrobniejsze szczegóły z dziejów rzymskich i greckich, znałam historją sztuki starożytnej i tréści znakomitszych arcydzieł malarskich, włoskich, hiszpańskich, holenderskich, niemieckich — ale nie znałam dokładnie dziejów mej ojczystej ziemi. Dziadek zaufał sprowadzonym nauczycielom, nauczyciele trzymali się panującego wówczas systemu po szkołach. Umiałam też lepiej pisać po francuzku niż po polsku, i znałam dokładniej Szyllera, niż Mickiewicza. Pamiętam jednak okoliczność, która wpłynęła stanowczo na zmianę mego kształcenia się. Pewnego wieczora rozmawiałam z dziadkiem o moich rodzicach. Zawsze słyszałam o moim ojcu, że zginął pod Wolą w czasie walecznej obrony jenerała Sowińskiego, nie wiedziałam jednak bliższych szczegółów ani owej pamiętnej chwili, ani całej wojny prowadzonej z Moskwą spytałam się więc staruszka, co to była za wojna, w której zginął mój ojciec?

— Jak to, ty tego nie wiesz?.... zapytał ze zgrozą podziwu, ty, któraś mi niedawno opowiadała tak dokładnie wszystkie szczegóły o Cromwelu —

— Nie uczyłam się mój dziadziu!

— A to źle, bardzo źle, moję dziecię, trzeba to będzie naprawić. I natychmiast tego samego dnia pogadawszy z panem Ludwikiem, moim nauczycielem historji, polecił mu, aby mię zapoznał z dziejami Polski. Pan Ludwik wprawdzie tłumaczył się przed mym dziadkiem, że tego przedmiotu oni w szkołach *„nie brali,"* przywiózł mi jednak ze Lwowa najwyborniejsze dzieła o naszej ziemi, i ja więcej sama, niż pod jego kierunkiem zabrałam się do najpotrzebniejszego każdemu Polakowi przedmiotu. To samo stało się i z literaturą polską, i odtąd poczęłam przecie naukę jakoś poczciwiej. —

Największe jednak postępy robiłam w grze na fortepianie. Mój metr był znakomitym nauczycielem. Dziadunio widział we mnie genjalne zdolności. Już w ósmym roku mego życia popisywałam się przed obywatelstwem moją grą, a słuchacze nazywali mię małą wirtuozką, i sława mego talentu rosła po całej okolicy. Ja sama przyznać muszę, iż miałam rzeczywiście wielkie upodobanie w muzyce, i że największą moją roskoszą było, wyuczyć się jakiego trudnego utworu; grywałam po parę godzin dziennie, nabrałam też pewnej wprawy w rękach, i czytanie nut szło mi dosyć łatwo. Wszystko to jednak nie było niczem nadzwyczajnem, jak widzę dziś — ale wtedy oszołomiona pochwałami i komplementami ze wszystkich stron sypiącemi się bez miary, uwierzyłam w mój genjusz, i zaczęłam nawet nabierać jakichś wymuszonych manier, które niby miały dodawać uroku memu talentowi.

Najbardziej też w moich wspomnieniach nie lubię się taką, jaką byłam w owej epoce mojej nibyto genjalności muzycznej. Było to w latach 13, 14 i 15 mego życia. Ja wtedy przybrałam takie nieznośne i obrzydliwe tony, że dziwię się nawet, iż mię ludzie mogli znosić w swem towarzystwie. Byłam dumną i zarozumiałą, zdawało mi się, iż każde dotknięcie moje klawiszy, musiało wprawiać w podziw i osłupienie słuchaczy. Drożyłam się z grą, jak wszyscy pretensjonalni artyści, a gdym nareszcie na usilne prośby mego dziadka, zasiadła do fortepianu, robiłam takie grymasy, że mię aż dzisiaj złości biorą na siebie. Dziadek był jednym z największych powodów tego mojego zgrymaszenia. Jemu się wszystkie moje dziwactwa podobały; słów mu brakowało na wychwalenie moich manier, a gra moja upajała staruszka i zachwycała.

Był u nas pewnego razu ogromny zjazd obywateli. Stół i piwnica mego dziadka ściągały bowiem licznych gości i tak zwanych przyjaciół domu. Przyczyną zaś tego zjazdu było zjawienie się w naszej okolicy hrabiego Zygmunta, który właśnie powrócił z zagranicy, jako mistrz i wirtuoz na skrzypcach. On tedy słysząc o moim nadzwyczajnym talencie zapragnął mię usłyszeć i przy sposobności popisać się swoją mistrzowską grą, zachwalaną już nawet po gazetach zagranicznych. Dziadek sprosil więc licznych gości z zamiarem urządzenia formalnego koncertu. Ja byłam bardzo ciekawą poznania znakomitości zagranicznej. Zaspokoiłam ją nareszcie. O godzinie 2giej po południu pysznym angielskim koczem zajechał przed nasz dwór hrabia Zygmunt ze swoim starym stryjaszkiem. Był to młodzieniec 20 lat liczący, wzrostu średniego, brunet z dużemi na ramiona spływającymi włosami, o jasnem niebieskiem oku. Mimo nieco ostrych rysów twarzy, był dość przystojnym, miłym jednak nie ukazał mi się nigdy. Miał coś

odstręczającego w mowie i ruchu ust.... Po przywitaniu się z dziadkiem został mi przedstawionym w salonie, gdzie byłam z moją kochaną Jadwisią, daleką kuzynką, która się przy mnie i razem ze mną wychowywała. Był elegancko, według najświeższej mody ubrany, skłonił mi się bardzo uprzejmie i podał rękę w oznace koleżeństwa. Nigdy się nie czułam tak dumną i próżną, jak w ówczas kiedy uściskiem rąk zbliżyłam się poufale do znakomitego wirtuoza. On z salonowym grymasem usiadł potem przy mnie, i tak niby od niechcenia zaczął rozmowę o Paryżu. Jakżeż mi się to wszystko genjalnem w jego ustach wydawało, z jaką wiarą przysłuchiwałam się jego opowiadaniom nadzwyczajnych wypadków, jakie mu się w stolicy świata przydarzyły, z jakąż ciekawością wypytywałam się o wszystkie szczegóły opowiadanego faktu; doprawdy, że pusty mię śmiech bierze dzisiaj i litość nad sobą, gdy sobie wspomnę tę naszę rozmowę salonową. Śmiesznem bo rzeczywiście było, jak takie dwie znakomistości w nieograniczonem uznaniu swych genjalności, paliły sobie dziecinne kadzidła próżności, i jak taki skończony za granicą wirtuoz dwódziestoletni rozmawiał z piętnastoletnią mistrzynią, poniewierając najsławniejszymi mistrzami muzyki, którzy się im maluczkimi wydawali w obec ich powszechnie uznanej wielkości.

— Cóż Liszt? mówił np. mój kolega paryzki. Egzekutor i nic więcej. I przyznam się Pani, że mi się wcale gra jego nie podoba. Jest za zimny. Nie ma tego uderzenia delikatnego, jakie cechuje szlachetniejsze serca wyżej uradzonych. Przyznam się Pani, że w mej podróży po Zachodzie prawie zawsze robiłem to doświadczenie, iż grający pochodzenia niskiego, mają odrębną swoję szkołę. Tusz ich ma coś grubiańskiego, jest im pewne prostactwo wrodzone. Nigdy Pani nie znajdziesz u nich tej delikatności w cieniowaniu tonów, jakie znowu prawie zawsze cechuje grę artystów dobrego rodu. Nie jestto moje uprzedzenie, ręczę Pani słowem honoru, ale i inni moi koledzy potwierdzili to moje trafne spostrzeżenie. Weź Pani Lipińskiego Karola. Nasza Galicja szaleje za jego grą na skrzypcach, wszyscy z nadzwyczajnym entuzjazmem przyklaskują mu jakby niewiedzieć co było. A ja Pani powiadam, że teraz po powrocie z Paryża ja go nawet słuchać nie mogę. Nie mówię już o tem, czego sam byłem nie dawno świadkiem, że ta znakomitość tutejszo-krajowa, na publicznych koncertach, które pominę, że się dają dla pieniędzy — nie raz i nie dwa razy fałszywe bierze tony, ale powiadam o tej rubaszności pociągnień smyczkowych, o tym braku wszelkiej a wszelkiej elegancji, którą się tak odznaczają nasi koledzy za granicą.

Ja wszystkiego słuchałam z uwagą i dla tego też jestem szczęśliwą, że mogę zanotować wszystkie niemal genjalne myśli mego szanownego mistrza elegancji.

— Wie Pani, mówił znowu po chwili, że będąc na salonach hrabiego Walewskiego, pomimo, iż nie jest moim zwyczajem grywać na większych zebraniach nie znanych mi osób, byłem zniewolony usilną prośbą hrabiego Montalamberta, zagrać pewien mały numerek mej własnej kompozycji. I cóż Pani na to powiesz, iż po skończonej grze, kiedy huk oklasków obsypał grę moję a przyznam się, że grałem wtedy z wielkim ferworem, przychodzi do mnie jakiś stary człowiek, siwiuteńki jak gołąbek, i ściskając mi rękę powiada: Tylko Paganini posiadał tę tajemnicę gry, jaką dostrzegłem w Panu.— Winszuję, winszuję. I to rzekłszy zniknął mi w tłumie Adoratorów, którzy mię ledwie na rękach nie nosili. I wie też Pani kto był ten niepoznany wielbiciel gry mojej? Nie zgaduje Pani..... Otoż powiem Pani, że to był ni mniej ni więcej tylko nasz najwyższy muzykalny maestro Meyerbeer. — Przyznam się Pani, że to jedno zdanie genjalnego kompozytora utkwiło mi najbardziej w pamięci, i że do niego przypisuje jedyną ważność. — Wszystkie inne pochwały i komplementa tak mi się wydawały czczemi i niesmacznemi, żem ich nawet nie słuchał. Najbardziej mnie niecierpliwiły pochwały tych tuzinkowych wirtuozów, którzy doprowadziwszy grę swoję na jakim tam istrumencie do pewnej, elementarnej, że tak powiem perfekcji, popisują się nią za biletami przed uliczną gawiedzią, która za 2 złote nabywa prawa do ocenienia ich talentów.

Słysząc to struchlałam trochę na myśl, że i mnie wypadnie popisywać się z grą moją przed takim znakomitym znawcą — ale grzeczny kolega uspokoił moje wkrótce zmartwienie wspominając, że i o mojej grze słyszał wiele dobrego, i że z tych pochwał, które słyszał od ludzi mających prawo sądzić, wnosi właśnie i o mnie, że posiadam tę tajemniczą potęgę tuszu, jaki jest tylko dobrze urodzonym wirtuozom właściwym. — Nie posiadałam się ze szczęścia i czekałam z największą niecierpliwością tej chwili, w której grą moją miałam w zdaniu pana Zygmunta zaćmić Liszta przynajmniej, jeżeli nie Mozarta. Przyszła nareszcie ta chwila. Goście zebrali się w salonie i wedle obyczaju paryzkiego, koncert miał się odbyć przed obiadem. Dziadunio w prośby do mnie. Popiera go hrabia Zygmunt i wszyscy obecni, ja po krótkiem wahaniu się siadam nareszcie przy fortepianie — i gram. Grałam najprzód uwerturę z Tanhäuserów; — nie łatwy to utwór, umiałam go na pamięć i grałam dosyć płynnie, ale dziś dopiero wiem jak licho, skoro i dziś nie zabrałabym się do niej z czystem sumieniem, wtedy jednak wszystko było genjalne. Zmordowana rzucaniem się i biciem po klawiszach, skończyłam wreszcie moje dzieło. W salonie panowała cisza podziwu.... a po chwili grom oklasków zahuczał jak pośród burzy. Pan Zygmunt zbliżył się do mnie i uścisnąwszy mię za drżącą rękę: szepnął: Nie zawiodłem się na mojem oczekiwaniu, i pani posiadasz *naszą* tajemnicę.... Byłabym mu się wtedy rzu-

ciła na szyję.... za to słowo. Ono było całem moim naówczas ideałem; to też nie dziw, że przez wdzięczność w uczuciu głębokiem wzajemnej admiracji, i ja hucznemi oklaski nagrodziłam szczytną, jak nazywano grę hrabiego Zygmunta, i że mi się wydawała arcymistrzowską, skończoną i doskonałą. Pan Zygmunt grał koncert Beriota, i jak dziś nakazuje mi sumienie powiedzieć, grał bez wszelkiego zrozumienia głębokich myśli tego genjalnego utworu, i nawet bez elementarnej owej biegłości i perfekcji, o jakiej sam mówił z takiem lekceważeniem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ŻYCIA PARYZKIEGO

przez

KAROLA FORSTERA

(Dokończenie.)

Cztery pory roku w Paryżu.

Klimat w Paryżu jest bardzo zimny. Z zadziwiającą szybkością następuje tutaj po pogodzie deszcz, po zimnie gorąco; i jeżeli jest prawda, że wpływ atmosferyczny działa na charakter indywiduów, to nie potrzeba w czem innem szukać przyczyn zmienności takowego u Francuzów w ogóle a u Paryżan w szczególności. Z chmurami i deszczem ciemne i kwaśne humory i zwyczaje spadają w tę głośną i żywą ludność; ale za to pierwszy powiew wiatru rozpędzającego chmury wprawia w dobry chumor Paryżan, którzy zresztą nie mogą być długo smutnymi. Na horyzoncie Paryża wiatr północno-wschodni sprowadza pogodę; — południowo-zachodni zawsze jest dżdżysty; południowy grozi burzą. Zdarza się często, iż tego samego dnia wiatr kilkakrotnie się zmienia i w przeciągu 24 godzin masz tam gorąco, zimno, suszę, wilgoć, burzę, błyskawice, grad i pogodę.

Z tej zmienności żywiołów powstaje mnóstwo chorób i niewygód; i jeżeli nie jesteś dobrze zaaklimatyzowany możesz się cieszyć z nieocenionej korzyści ciągłego zakatarzenia.

Zima w Paryżu jakkolwiek krótka, jest bardzo trudna po przebycia; zwykle jest dżydżysta i nieprzyjemna. Zwyczaj opolania tamże nigdy nie odpowiada rzeczywistym potrzebom hygieny. Posadzka małych pokoi szkodliwa jest dla zdrowia a mały kominek, w którym zarzy się kilka głowni, zaledwie może ogrzać twarz i ręce, reszta ciała a szczególnie plecy marżną nielitościwie. Drzewo przytem i węgiel są bardzo drogie. Jeżeli zabłąkasz w cyrkuł zamieszkany przez ubóstwo, uchodzisz ztamtąd coprędzej z zakrwawionym sercem, zapytując sam siebie, jakim sposobem się dzieje, że zima nie zmiata daleko więcej tej ludności wynędzniałej; wątłej, której nagość zaledwie okrywa kilka szmat z lekkiej pozszywanych materji. Bluza płócienna, kaftan podarty i spodnie drelichowe poszarpane, oto wszystko, co mogą wziąść na siebie; i z tem idą do swej pracy z rzadką obojętnością i drżąc od okrutnych podmuchów północnego wichru.

Wiosna zjawia się dość nagle po kilku dniach dżdżystych. Widnokrąg się wyjaśnia, słońce rzuca swe promienie i już słyszysz głośne skargi na zbyt wczesne gorąco; później jednak kiedy zieloność śmieje się do ciebie i wabi twe oko oczarowane nagłym rozkwitem, niebo się zachmurza, ogarnia cię zimno i śnieg cię smaga. Napróżno fijołek i pierwiosnki zwiastują ci, iż nadszedł czas pięknej pory roku, niebo i wiatr chcą ci dowieść, że wiosna jeszcze daleko. Zaledwie porzuciłeś twój paletot, a znów grad przymusza cię do przywdziania go; — i to trwa tak jeden lub dwa miesiące. — Nareszcie ciepły powiew atmosfery odgrzewa na nowo ziemię i niebo: Paryż się budzi! albo raczej Paryż usypia, gdyż bale zimowe nie dozwoliły mu dotąd spać. Lecz usypia tylko na pół. Koncerta zajmują miejsce balów, a ciche i piękne wieczory wywabiają cię na przechadzki. Wtenczas kwieciarki zjawiają się na ulicach Paryża, wtenczas ukazują się kwiaty; jakkolwiek dla tego ostatniego artykułu niema właściwie odpowiedniej pory roku w tem mieście: Znajdziesz fijołki tak dobrze w październiku jak w kwietniu, a róża rozkwita dla ciebie tuż obok kamelii.

Ta woń wiosenna trwa krótko. Wiatr zmienia się, świszcze; nadchodzi lato, a z niem prawdziwa pustynia zalega miasto. Gorąco niesłychane ogarnia cię i pozbawia ruchu i swobody. Bruk ulic rozpala się, asfalt się topi, a zbolałe twe nogi chodzą po topiącej się lawie wulkanu. — Kilka razy dziennie z rozkazu policji skrapiają wodą ulice i tretoary; lecz dla mieszkańców ten przepis więcej jest szkodliwym niż użytecznym. Władza zakazuje wyraźnie używania wody z kanałów; lecz kałuża tuż pod ręką, sierżant miasta dość daleko a więc stróże błotnistą wodą zwilżają bruk i obryzgują przechodnia bez wstydu i litości. Jest to najprzykrzejsza ze wszystkich pór roku w Paryżu. Na próżno szukałbyś cienia i chłodu, chyba w Tuilerach, gdzie jednak natłok tak jest wielki (w pewnych tylko alejach) iż gorąco tam jest to samo co i na ulicy. Noc nawet nie ochładza zawsze tej atmosfery płonącej, że tak powiem; u nikogo nie znajdziesz ani jednej nitki, ani jednego włosa suchego. A przecież, rzecz dziwna! nie jest to pora roku, w której najwięcej powstaje chorób. Wiosna

i jesień napełniają szczególnie szpitale; choroby zaś umysłowe rozwijają się na wiosnę, a M. Arago zauważył, że w tej ostatniej porze roku niektórzy matematycy starali się dowieść możność kwadratury koła.

— Najzdrowszym i najpiękniejszym miesiącem w Paryżu jest wrzesień. Gorąco wtenczas nie jest tak silne i przykre ani zimno przeszywające. Mnóstwo wtenczas znajduje się na targu winogron i różnych innych owoców, lecz piękne produkta tego rodzaju są rzadkie. Ani gleba ani klimat we Francji nie odpowiadają drzewom owocowym; wymagają one dużo pieczy i pielęgnowania a owoce nie mają tego smaku, co z Włoch, Niemiec a nawet z Polski. Okolice Paryża nie obfitują w drzewa owocowe; Montmorensy tylko dostarcza dobrych wiśni; co się zaś tyczy moreli, brzoskwiń, jabłek i gruszek, tych trzeba szukać w Anvernji lub Normandji.

Jesień, jak zima, jest również nieprzyjemną; czas prawie wciąż pochmurny, mglisty, powietrze ciężkie i dżdżyste. Burze wciąż przechodzą a kominy spadają nieraz niebezpiecznie i dość często. Jednem słowem stan nieba w Paryżu jest rzadko piękny, a hygrometrycznie mówiąc, raczej wilgotny niż suchy. We wszystkich porach roku nie zbywa na błocie, jakkolwiek przestrzegają surowo czystości ulic.

Gdybym chciał podzielić Paryż jako centrum zabaw według pór roku, powiedziałbym: Zima jest najmilsza i najgłośniejsza; wiosna najwięcej muzykalna; lato najwięcej ożywione; a jesień najsmutniejsza. Zima należy do zabaw; wiosna do sztuk; lato do nauk; początek jesieni do próżniactwa, które Włosi nazywają *dolce farniente*, a koniec jej do przenosin. — Zimą Paryżanki czarują; wiosną romansują; latem spekulują; w jesieni podróżują. —

Kronika. — Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym. — Poświęcenia i protekcje. O tem co piszą o posłach i jaką drogą wiadomości te przychodzą do redakcji. — Kapłanowie opinji publicznej. Ogród strzelecki i ogródek Aleksandrowej częstują już gości. Na plantach z rozkazu Rady miejskiej posadzono bluszcz i kilka patyków. —

Odebraliśmy w tych dniach list od jakiegoś prowincjonalnego poety pseudonima, gdzie aż trzy utwory bujnej fantazji ofiaruje nam nie tylko zrzekając się wszelkiej pretensji do honorajum, ale nawet w razie gdyby poezje te ujrzały światło dzienne w „Kalinie“ przyrzeka Szanowny Poeta zapisać się na listę prenumeratorów naszych. Żałujemy, że dziennik nasz nie może służyć Poecie za środek serdecznych porozumień się z kapłanką jego myśli, a przedewszystkiem żałujemy, że tracim w nim na pewno jednego prenumeratora! Dzisiaj zwłaszcza gdzie taki nieurodzaj na prenumeratorów panuje. Dzienniki nasze, te przynajmniej, które przetrwały siedm lat głodu, niedługo zaczną w czarnych wychodzić obwódkach, na znak żałoby po zmarłej swej braci. Tyle bowiem zapowiedzianych samobójstw na polu dziennikarskiem, że doprawdy i „Kalina“ gotowa zwątpić w swoję świetną przyszłość, gdyby nie to, że w waszych pięknych rączkach Szanowne Czytelniczki podobno nic nie więdnieje a tem mniej usycha......

Wśród tej niekrwawej walki, która się toczy na polu dziennikarstwa krakowskiego o jak największy zastęp czytelników — jeden tylko „Djabeł“ jak dawniej drukuje się w 12000 egzemplarzy, i..... jest nadzwyczaj kontent z siebie! — Z tem wszystkiem nie najświetniejsza przyszłość czeka literatów i redaktorów, którzy jak pelikany otwierają sobie piersi aby z nich wydobyć jaki dziennik dla Ciebie Szanowna Publiczności galicyjska — chociaż rany takie samobójcze grożą niechybnemi suchotami. — Poświęcajże się tu teraz dla narodu!

Najgorszem przecież poświęceniem ze wszystkich poświęceń jest poświęcenie się dla prywatnej kieszeni. — Już to ręczę, że i Teatr krakowski nie wywołałby tyle skandalicznych artykulików, gdyby po za sprawą dobra publicznego nie stało dobro prywatnego interesu — a przedewszystkiem.... owa zakalisowana kandydatura dla której z takiem gorącem i zaparciem się występują w szranki właściciele czy dzierżawcy opinii publicznej. — Nawet ręczę, że do dziśdnia niewiedzielibyśmy gdzie i kogo poseł nasz pocałował w rękę, gdyby nie jeden z apostołów moralności, który odebrawszy wiadomość tę w liście od narzeczonej, podzielił się nią z czytelnikami. —

Najpopularniejszą pretensją jaką ludzie roszczą sobie dzisiaj do pana Boga jest ta, że ich Opatrzność nie stworzyła ani hrabiami ani miljonerami — chociaż najwięcej piorunują na jednych i na drugich — ręczę, że o wiele zmniejszyłby się zastęp naszych pseudo demokratów.... gdyby świat ów, na który rzucają gromy, był sukiennicami przez które każdemu przejść wolno. Wypowiedziawszy to wszystko co nam ciążyło na sercu, a za co nie mamy żalu do pseudo demokratów naszych krakowskich — z przyjemnością przeszlibyśmy do porządku dziennego t. j. na pole nowinek brukowych — gdyby o nie w Krakowie nie było trudniej niż o jednego prenumeratora dla owego nieszczęśliwego *Ekonomisty*. —

Co rok jedno i toż samo, wszystko się powtarza; muzyka w ogrodzie strzeleckim zaczyna od marsza i kończy na marszu — a młodzież od kawy lub piwa i kończy na kawie lub piwie. — Ogródek Aleksandrowej częstuje jak zawsze swoich gości chlebem non plus ultra i kawą, a porcja tego wszystkiego 25 c. kosztuje jak w roku zeszłym. — Niezadługo będą tam i kurczęta pieczone z sałatą — dla smakoszów. Jedne tylko planty w tym roku stroją się nie na żarty! Oprócz kilkunastu budek i straganów z piernikami, co zapowiada bliską wędrówkę kramów kazimierskich — planty, zdobyły się na reformy nielada! — Obok głównego kopca zaimprowizowano klomb i jedno drzewo ubrano bluszczem, mało to prawda, ale zawsze lepsze jak nic — dowód, że Rada miejska idzie na przód — a z czasem może i Kraków pociągnie z sobą na tę krucjatę. —

Występy p. H. Modrzejewskiej.

Występy na scenie tutejszej ulubionej i uwielbianej przez wszystkich, Artystki Teatrów Warszawskich pani *Modrzejewskiej* zapełniają literalnie nasz Teatr. — Jakkolwiek talent artystki olbrzymiał w naszych oczach— jakkolwiek pamiętaliśmy ją w tych samych rolach, toż przecie nie możemy powiedzieć aby p. *Modrzejewska* nie przywiozła nam nic nowego czegobyśmy w grze jej niewidzieli. Krótki pobyt na scenie warszawskiej nie

przeszedł bez zdobyczy na polu dramatycznem dla artyski. Dzisiaj śmiało możemy porównać grę p. M..... z pierwszemi talentami na scenach europejskich, a na każdej z nich artystka nasza wśród współczesnych, może być pewną zwycięztwa. — Nie dotykamy też skalpelem zimnej krytyki gry pani *Modrzejewskiej* — entuzjazm jaki budziła w słuchaczach i głośne oklaski, są najlepszym dowodem, że artystka potrafiła panować wszechwładnie nad publicznością.

ROZMAITOŚCI.

Jak się przychodzi do znaczenia i majątku. Niedawno umarł w Londynie sławny bogacz, Lord Taunton, którego ojciec jeszcze był początkowo chudopachołkiem, nim za pomocą jenjalnej sztuczki, przez jedną noc, rzecby można — stał się właścicielem kolosalnego majątku. Jest to historja bardzo zajmująca. Piotr Cezar Labouchére, ojciec zmarłego Lorda, służył jako młody, ubogi komissant w biurze, sławnej na cały świat, bogatej firmy Baring. Dla ujmującej powierzchowności swojej, uzyskał wstęp do rodzinnego kółka swego szefa; a ponieważ był bardzo zdolnym w swoim zawodzie, polecał mu Baring często bardzo ważne poselstwa, do jakich używa się zwykle tylko doświadczonych szefów biura. Jedno z takich poselstw zawiodło go raz do Amsterdamu; do sławnego bankiera Hope, kóry polubił wielce młodego człowieka i zapewnił go po załatwieniu sprawy, dla której przybył, że byłoby mu bardzo przyjemnie, gdyby mógł przyczynić się do jego szczęścia.

— Jeśli pan szczerze pragniesz tego, rzekł młody Labuchére — to zrób mnie pan swoim wspólnikiem.

Hope zdumiony tą bezczelnością, skarcił młodzieńca surowo.

— A gdybym był zięciem Baringa? — odparł tenże.

— Zięciem Baringa! to inna rzecz; w takim razie przyjąłbym pana z otwartemi rękami.

— Biorę pana za słowo! — rzekł Labouchére i powrócił do Anglji.

W kilka dni później wprawił w niemałe zadziwienie swojego szefa, prosząc go o rękę jego jedynaczki, z zapewnieniem, że ją kocha, i że potrafi zyskać jej wzajemność.

— Młodzieńcze, cenię twoją zdolność i gorliwość w służbie, ale widzę, żeś albo szalony albo coś gorszego jeszcze, rzekł dumny bankier.

Ale Labouchére nie dał się tem odstraszyć.

— A gdybym był wspólnikiem firmy Hope w Amsterdamie — zapytał — czy odmówiłbyś mi pan ręki swojej córki?

— To inna rzecz — odparł Baring — jako wspólnik Hopego, byłbyś dla mnie bardzo miłym zięciem. —

— Biorę pana za słowo — rzekł młodzieniec; napisał do Hopego, że mu została przyrzeczoną córka Baringa, złożył Baringowi dowód swojej przyszej spółki z Hopem; stał się potem rzeczywiście spólnikiem Hopego i zięciem Baringa i — sens moralny niechaj wyciągnie z tego sam każdy ambitny młodzieniec. Także zmarły teraz syn jego, który w r. 1859 pod tytułem hr. Tauntona mianowany został członkiem izby wyższej, miał żonę z domu Baring, córkę swojego wuja.

— Do dentysty przyszła wieśniaczka z chłopcem cierpiącym na zęby, który obydwoma rękami za twarz się trzymał.

Jedno zakręcenie instrumentu uwolniło chłopca od boleści.

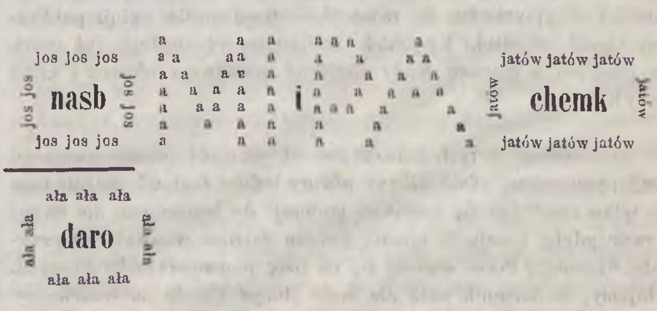
Nastąpiło płukanie wodą zranionego dziąsła, a następnie zbliżyła się chwila dopełnienia innej operacji, jaką jest zapłata za wyrwanie zęba.

Wieśniaczka obracając się do chłopca, któremu ulżyło pozbycie się zęba winowajcy, powiada: Widzisz, niechciałeś przyjść do p. doktora, ponieważ nie mamy pieniędzy aby mu zapłacić, a nie mówiłam-że ci, że to nic, bo jak ci raz ząb wyrwą to już ci go potem nie wsadzą. I wziąwszy chłopca za rękę skłoniła się osłupiałemu dentyście i wyszła uradowana, że się jej słowa zupełnie spełniły.

— Ktoś opowiadał, że byłby zginął w pojedynku i tylko ocalenie swe temu zawdzięcza, że miał w kieszonce od kamizelki srebrnego talara, od którego się pistoletowa kula odbiła.

Szczęśliwy człowieku, zawołał jeden ze słuchaczy, gdybym był na twojem miejscu, byłbym niewątpliwie zabity, gdyż to u mnie fenomenalna osobliwość posiadanie całkowitego talara.

REBUS.



Znaczenie rebusa w N. 14. **Wkrótce Dzwon nam ogłosi nową erę, gdzie jak we Kwiatach. zobaczymy czego oczy nie widziały.**

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.